

# BŁUSZCZ.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.



Chwała Panu na Wysokościach.

## KOLENDA.

Boże! o którym wiem, iż jesteś w Niebie,  
W błękitach, ponań gwiazdami srebrnymi,  
Kłęczę i ręce wyciągam do Ciebie,  
I wołam głosem wszystkich tęsknot ziemi.  
Zstąp!.. W ubożuchnem onem Betleemie,  
Przy rozjaśnionej blaskiem cudu nocy,  
Ujrzą Cię ludzie, że schodzisz na ziemię,  
Że jesteś Bogiem potęgi i mocy,  
I razem z Tobą zejdzie pokrzepienie,  
Wiara nam serca napełni spokojem.  
Gdy od błękitów odbite promienie  
Padną na czoła, złane trudu znojem  
W górę ku Tobie podniosą je ludzie,  
A choć znów przyjdzie ciężka, twarda praca,  
Zostanie w duszach wspomnienie o cudzie  
Jak promień słońca, co wszystko oślaca.

M. I.

## MOJA GWIAZDKA.

Od dzieciństwa byłem pieściocem ciotki, która chowała poczciwie sierotę jak matka rodzona i corok wyprawiała mi sute gwiazdki obdarzała mnie wspaniałymi rumakami na biegunach, blaszanymi szabłami, których ciosy znajdowały się na jej meblach, i teraz też uważałem sobie za obowiązek przybywać do niej corok na wilią, przywożąc ze sobą najwspanialsze karpie i szczupaki, jakie dały się złowić w stawach Wólki. Gospodarowała tam niegdyś pracowicie na mieniu sieroty, i wiedziałem, że jej to robi przyjemność, ta gwiazdka od Stasia, jak nazywała mnie dotąd. Zapraszała zwykle gości i bywała to zawsze suta biesiada, na którą wysilała się mądrość starego kucharza Walentego, a którą ciotka dysponowała mu uroczyste natrzy dni naprzód, choć wszystkie dania były tradycyjnie jedne i te same, jak za mego dzieciństwa. Tylko już teraz nie zjadałem ukradkiem przygotowywanych się do niej przysmaków, nie chwytalem rodzenków i migdałów, choć lubilem wtrącać się tu i pomagać w pracy p. Zofii, wychowawicy ciotki, ubogiej sierocie, którą ciotka wzięła poczciwie do siebie i obchodzila się z nią, jak z córką, a którą nazywałem kuzynką, jakkolwiek nie znalazłem stopnia łączącego nas pokrewieństwa. Miała przepiękne błękitne oczy, słiczne usteczka, jak pąk róży, i lubilem, gdy mnie nazywała też kuzynem. Ciotka mówiła zwykle o niej:—dobra dziewczyna... i była rzeczywiście dobrą, miłą i wdzięczną; wybierając się też z Wólki do Warszawy, nie o samej tylko ciotce Anieli myślałem.

Ciotka dla mojej przyjemności zapewne urządziła po wigilijnej biesiadzie różne gry wesołe, czasem mieliśmy chętkę potańcować, ale nie było na to wiele czasu, ponieważ następnie jechaliśmy wszyscy na mszę północną, na Pasterkę. Wsadzaliśmy zwykle do mego powozu ciotkę i p. Zofię i byłem taki wesoły, taki kontent z tego, że całowałem potem gorąco ręce ciotki a ona, nazywając mnie zawsze Stasiem, przytulała sobie moją głowę do serca i mówiła:— Niech cię Bóg błogosławi.

Aż jednego roku formuła ta uległa pewnej zmianie.—Moje dziecko — rzekła — tobie należałoby pomyśleć o zmianie stanu. Tak-byś pragnęła, abyś się ożenił jeszcze za mego życia...

Zmieszałem się więcej, niżbym przypuścił, że to być może. P. Zofia—Zosia, stanęła mi przed oczyma; słodkie spojrzenie jej błękitnych źrenic,

jej usteczka i ząbki słiczne, jej wysmukła, gibka kibić malowały mi się przed wzrokiem, jakkądyby stała przedemną i musiałem się zapłonić, jak dziewczyna, bo ciotka uśmiechnęła się do mnie.

— Już ja myślę o tem nie od dzisiaj—dodała.— Mam nawet coś upatrzonego...

Schyliłem się i pocałowałem ją w rękę, ale zrobiło mi się trochę niemilo. Byłbym wołał, aby wybór zostawiła mi całkowicie, to też rzekłem poważnie:— Ciociu kochana, śmierć i żona od Boga przeznaczona...

— Tak mój Stasiu drogi, ale Pan Bóg każe nam coś się do tego dołożyć. Wiesz przecież jak cię kocham, wiesz, że twoja żona będzie to córka dla mnie, ale nie o sobie myśleć mi tu należy. Długo się zastanawiałam, długo wszystko wazyłam, aż doszłam do przekonania, że lepszego wyboru nie możesz zrobić. Wiek odpowiedni, bo jesteś od niej starszy blisko o lat dziesięć, urodził Bóg jej dał, a serce, a poczciwość znam ja najlepiej, przytem nie będzie uboga... nie wejdzie w dom twój bez wiana.

Drgnąłem i wyprostowałem się. — O kim ona myśli? — zapytałem się siebie z gniewem mimowolnym. Była chwila, w której spodziewałem się usłyszeć zupełnie co innego. Tak niby kochała Zosię... Nigdy nie myślałem o pieniądzech przy wyborze żony — rzekłem dumnie. Niech ją serce moje pokocha.

— Naturalnie... naturalnie, mój Stachu drogi. Wiem, że nie jesteś cheiwiem i łapigrosz, ale ta, o której myślę dla ciebie, będzie miała i posag... To nie twoja, ale moja rzecz myśleć o tem...

Patrzyła na mnie z takim słodkim, miłym wyrazem twarzy, uśmiechała się tak poczciwie, ale już mnie to nie wzruszało bynajmniej.

— Nie, ciotko, — rzekłem prawie szorstko — nie zamierzam się żenić jeszcze...

— To źle... jesteś właśnie w tym wieku, w którym należy już pomyśleć o tem. Żenić się wtedy, kiedy już serce z czasem wychłodnie, kiedy nie może się dać kobiecie takiej miłości, takiego gorącego uczucia, jakie jej się należy—to grzech.

— Grzech jest przedewszystkiem żenić się bez miłości—odparłem chłodno, a ciotka Aniela spojrziała na mnie. — Nie chciałabym tego, Bóg widzi, przecież wiesz, że tak czuła i myślała zawsze, ale może byś pokochał?..

Ciotka została starą panną dlatego, że los okrutny rozdzielił ją z tym, któremu serce jej oddało się wiernie. Jej stare panieństwo było jej cnotą, jej tytułem do chwały, ale w tej chwili podrażnienia zapomniałem o tem wszystkim. — Nie mówmy już nic w tym przedmiocie, ciociu kochana... rzekłem i powiedziałem jej do branc, chłodniej niż zwykle.—Starość traci pamięć... mówiłem sobie z żalem, z goryczą. Raz pierwszy w życiu ciotka Aniela zrobiła mi przykrość — raz pierwszy miałem jej coś do zarzucenia.

To coś było tak silne, nawet mimo woli mojej, bom usiłowałem tłumaczyć sobie tem, iż swatanie jest ogólną wadą kobiet — że skróciłem mój zwykły pobyt w Warszawie. Zaraz po świętach wyjechałem.

Ciotka była bardzo dotknięta, nawet rozdrażniona. Nie zatrzymywała mnie wcale i tylko na odjeździe rzekła mi z żalem:— A proszę niechże ja wiem przynajmniej, kiedy serce twoje uderzy na koniec dla tej, którą uznasz godną swej miłości. Marzyłam, marzenie moje, rozchwiało się, ale, że szczęście twoje stało dla mnie zawsze na planie pierwszym, więc nie mam żalu do ciebie.

— Mam tylko żal do losu... dodała a mnie się zrobiło bardzo przykro, ale rzecz była zbyt ważną, aby nawet przywiązanie moje do ciotki mogło tu oddziaływać. Zosia pomiarkowała, że zaszło coś pomiędzy nami i na małą chwilę przed odjazdem moim zrobiła mi za to wymówkę. — Coś pan zrobił, p. Stanisławie? — rzekła mi z wyrzutem pewnym. — Ciocia Aniela czegoś zmartwiona i smutna?..

— Bronilem niezawisłości mego serca — odparłem żywo.

— Czy można sprzedać serce swoje? — dodałem z goryczą:— Czy można wyrzucić sobie z niego miłość, gdy tam raz weszła?

Mimowoli ujęłem jej rękę i przytrzymałem w rozpalonych dłoniach moich. Raz pierwszy spojrzalem tak w słodkie jej źrenice błękitne, że delikatny rumieniec wystąpił na liczo jej słiczne. Ręka jej drgnęła, uczułem to i jak waryat ukląkłem, pocałowałem rąbek jej sukni. Była to skromna sukienka z ciemno-zielonej wełny, i nie zapomniałem jej nigdy, ani koloru, ani kroju. Prosta, gładka sukienka bez żadnych festonów i upięć, a jak stróżła ją słicznie!

Był to strój, w którym odtąd widywałem ją zawsze w marzeniach moich o niej — zaplonioną, wzruszoną. Nie usłyszałem o niej ani jednego tkliwszego słowa: przecież wiedziałem, że jej serce nie jest mi obojętne, i tem cięższy żal czułem do ciotki. Jak ja-byłem szczęśliwy z tą bezposazną, z tą skromną w ciemnej sukience wełnianej, którą uszyły rączki jej malutkie! Jak byłbym szczęśliwy...

Często chwytalem się na marzeniach urzędowego wespół z nią życia w starym dworze moim, gdzieby nam było tak dobrze, tak dobrze, bez nowych mebli, powozów! Cóż to dla nas znaczący mogły powozy i meble? Trochę polechtanej próżności! A czy człowiek może wyżyc o tem?... czy serce jego nie będzie czuło obok tych wszystkich rzeczy próżni rozpaczliwej? Nigdy silniej nie odczułem słów poety i mądrości jego zdania o skutkach takich małżeństw — o stanie rodzin, które się z takich stadel tworzą, i jadąc traktem radomskim, otulony w futro, szeptałem sobie z goryczą: — Dopowiedzą potem dzieje, zkaż są zdrajcy i złodzieje...

Ciotka napisała do mnie w parę tygodni potem, abym przyjechał użyć w mieście trochę karnawału; widać było, że jej żal do mnie już złagodniał, ale mój trwał mimowoli.—Starość wystygła... starość nie umie pamiętać — powtarzałem, przecież namyśliłem się i przyjechałem po pewnym czasie, ale nie było mi tu już tak miło i dobrze, jak niegdyś. Bałem się sam siebie, bałem się zdradzić, za to bywałem dwa razy tyle w mieście, co niegdyś, aż naraz uczułem, że mi to cięży zanadto i jednego wieczora pożegnałem ciotkę.

— Odjeżdżasz?—zawołała z żalem.

— Tak.—Miasto mnie nudzi, przytem nie jestem o tyle bogatym, abym mógł tak opuszczać gospodarstwo.

— Ale moja praca mi nie cięży — dodałem co-prędzej. Byle tylko nie wziąć na siebie jarzma zbyt ciężkiego, można być szczęśliwym pracując...

Ciotka spojrziała na mnie. — Nie rozumiem do czego to się odnosi — rzekła trochę sucho. Przeszliśmy się rozumieć już teraz i mogła pomyśleć że nazywał jarzmem to uczucie wdzięczności dla niej, które czułem było z mojej strony obowiązkiem.

Nie przybyła do Wólki na lato, jak to bywało zwykle. Przyjechałem po nią, prosiłem, ale odmówiła mi. Wybierała się gdzieś do wód i ja też przestałem nalegać; w jesieni, gdy wróciła, przywitałem ją tylko listownie. Wymówiłem się brakiem czasu. Licho mnie pokusiło że napisał: — Człowiek, który nie jest magnatem, a chce zachować niezawisłość, musi pilnować pracy. Ciotka odpisała mi chwając tę moją sentencją. — Bardzo pięknie rezonujesz i cieszę się z tego, lecz ja, która znam życie lepiej od ciebie, mogłabym dodać, że nie samym chlebem żyje człowiek...

Rozgniewałem się. I to dla mnie ta wymówka? Zakopałem się w pracy; ze złości chciałem robić majątek, aby pokazać ciotce, że mi nie chodzi bynajmniej o jej krocie, o jej zapisy. I dotrwało to tak do Bożego Narodzenia; z początku mówiłem sobie, że nie pojedę, jeżeli nie otrzymam specjalnego zaproszenia, ale przywiązanie wzięło w końcu górę nad dumą. Znalazłem między papierami jakiś dawny list ciotki, pisany do mnie, gdy był chłopcem, i zmiekle. —Dobre, poczciwe kobieciśko —rzekłem sobie. Sama nie była nigdy cheiwą i, jeżeli pragnie dla mnie majątku, to przez przywiązanie właśnie. Starość zapomina, co to jest miłość... serce starych ludzi stygnie...

Żem się zdecydował ostatecznie dość późno, wyjechałem już w sam dzień wili, ale rankiem wczesnym; wiedziałem, że stanę na czas, i tak się też stało. Zajechałem do hotelu, przebrałem się,

kazalem fryzyerowi przystrzydz sobie włosy i wyelegantowany, w towarzystwie ogrodniczka od Hozera, który wiozł w drugich sankach najpiękniejsze drzewka kwitnacych kamelii, jakie znalezc moglem, a z których chcialem zrobic gwiazdke ciotce, jechałem, myśląc, jak też przywitany zostane? Wiedzialem, że jestem kochany jak syn rodzony, ale czyż i matki nie zacinaja się na dzieci swoje w takich, jak tu, przypadkach? Chca je uszczesliwic na swój sposob...

— Stare serce nie pamietą, jak bilo w piersi młodej—mówilem sobie z goryczą, a wiozłem też, już w rękach własnych, bukiet dla mojej Zosi, bom ją zawsze w myśli tak nazywałem. Najpiękniejsze kwiaty dobrałem, a jak byłbym chciał wsunąć między nie list, liścik, choć maleńki, ale nie zrobilem tego. Nie tylko przez wzgląd na ciotkę, ale i na nią, moje dobre, czyste, słodkie dziewczętko.

I rozdzielać nas dla tego, że uboga... że sierota? Wyszukiwać mi jakiejś krociołki, gdy ta śliczna, ta wdzięczna była tuż obok?

Musiałem nałożyć cugle na myśl moją, bo czulem, że snując dłużej te rozumowania, byłem zdolny zawrócić do hotelu, a nawet siąść na kolej i jechać na całą noc do domu. Naradziłem się tylko ze sobą bardzo uroczyście, jaki ma być sposób mego obejścia się z ciotką. Będę okazywał uszanowanie syna, bo to obowiązek.

Myśląc już to stawałem się sztywny jak Anglik. Przypadek zdarzył, że stary Jacenty był na dole i zobaczył, gdym z sanek wysiadał. Skinąłem na niego, aby odebrał mi z rąk bukiet, którego lękałem się uszkodzić, ale on nie zważał na to i poleciał przedemną na schody, jakgdyby był młodszym odemnie. — Panicz przyjechał!—krzyknął wpadając jak bomba do przedpokoju i takim głosem, że go usłyszał w sieni. Ledwie też wszedł we drzwi otwarte i zdołał zrzucić futro, ciotka Aniela już znalazła się na progu. — A złe dziecko moje!... zawołała z takim zalem i zarazem radością, wyciągając do mnie ramię. Zem padł jej do kolan.—Ciotko! ja cię zawsze kochałem i kocham jak matkę, która mi byłaś, ale nawet dla ciebie zaprzedać serca nie moge!...

— Co? — zawołała. — Co? Zaprzedać serca... Toż ja się tem brzydzę, toż to był powód mego żalu do ciebie.

Szczęściem Zosia była jeszcze nieubraną i zanim znalazła się między nami, przyszło do wyjaśnienia. Ta posażna panna, ta panna z majątkiem to była ona... Ciotka dzieliła mienie swoje między nas i na pół żartem powiedziała mi przy owej rozmowie, która nas poróżniła, o posagu wybranej dla mnie bogdanki, a ja, gorączka, zawołałem dumnie, że nie chcę go, bo nie kupuję żony... że wreszcie kocham już i kochać nie przestanę.

Co to była za biesiada czarodziejska ta wieczera, do której zasiedliśmy wkrótce! Było jeszcze kilku starych przyjaciół ciotki, ale ja widziałem tylko jedną istotę — tę moją najdroższą, tę moją ukochaną, zapłoniczną, lecz niemniej szczęśliwą, jak ja. Kiedy jej błękitne źrenice podnosiły się na mnie z tkliwym i razem zawstydzonym spojrzeniem, serce moje tajało w piersiach z tego szczęścia, które znają tylko ci, którzy kochali, tracili, cierpieli i odzyskali.

O, cudowny dar życia mojemu przyniosła gwiazdka! Stało się też tak, że zacząłem nazywać Zosię gwiazdką moją i stała się nią rzeczywiście.

Miłość wierna, tkliwa, poświęcona, która czuwa nawet wśród ciemności i ciemności rozjaśnia — to gwiazdka życia ludzkiego.

M. I.

## HRYWDA

POWIEŚĆ.

przez

Maryę Rodziewicz.

(Dalszy ciąg).

Wakacje Sacharka trwałyby dłużej jeszcze, ale pewnego wieczora Kalenik się okaleczył

nie ciężko, bo tylko jeden palec sobie odrąbał, drwa na podwórzu szczapiąc.

Tamci wieczerali właśnie. Machnął nieostroźnie siekierą i syknął zcicha. Ostrze rozplatało rękę lewą, krew bluznęła obficie.

Więc parobek siekierę rzucił, wszedł do izby i, nie mówiąc, w popiół gorący ranę zanurzył. Gdy długo bawił u komina, Sydor to zauważył.

— Co ty tam robisz?

— Puczkę (wielki palec) rozciąłem!—obojętnie odparł.

— Mocno? Pokaż!

Pokazał: palec wisiał bezwładny, kość była zgruchotana.

— Nic z niego nie będzie. Trzeba całkiem odciać! — zdecydowali.

Kalenik popatrzał. Ból mu ubielił usta, nie skarżył się jednak. Zawrócił na podwórze, podniósł siekierę i, jak mu radzono, temsamem ostrzem dokonał operacji.

Ranę zalano naftą, okrócono szmatami, i nikt się więcej o to nie troszczył.

W nocy czuł Kalenik w rękę ogień i targanie, wstawał parę razy, pił wodę i zmieniał szmaty; nad ranem poszedł do Żurawlichy, co zamawiała krew. Ręka spuchła, spalona naftą rana już czerniała.

Był niezdolny do żadnej roboty.

Wziął tedy Sacharko jego woły i poszedł w pole.

Kaleka uczył go, jak dziecko, przeprowadził za wrota, polecał swe faworyty, a sam przesiedział dzień cały na przyzbie, jakby ogłuszony beczynościami—osłupiał.

Na zagonach Hubeniów nowy rataj objął komendę. Gorzej orał i z natury popędliwy bił i narowił woły, ale za to chwila aż hen, na dworski łan zalatywały jego śpiewy, nabytek dalekiej wędrówki.

Ech u cioci, u Urszuli  
My swisnęli dwie koszule  
Ech u dziada, u Piotra,  
My swisnęli jesiotra!  
Ech ha — ech ha!...

Dziewczęta pokładały się od śmiechu, a parobcy uczyli się na wyścigi.

Żle się goiła ręka Kalenika, pomimo, że przykładano do niej jęczmienną kaszę, stare sadło, nawóz i gniecione stonogi, — najradkalniejsze środki.

Na reszcie zdecydowały baby, że to była „uczyna“.

Zaczęto go tedy kadzić i poddawać różnym czarodziejskim praktykom; chodził od znachora do znachora, pojo no go obrzydliwymi odwarami.

Po paru tygodniach starym, widząc, że się choroba przedłuża, zostawił Kiryka w chacie, a sam do koni gromadzkich stanął.

Nie praca to była, i nawet wstyd dla dorosłego, ale wytrzymać nie mógł w izbie.

Koni w Hrywdzie było paręset sztuk.

Pały się na wygonie grzązkiem, stratowanym, pokrytym niskimi krzakami łoży i szuwarów.

Na słońcu dzień cały, pieszo, lub oklep Kalenik je zaganiał, żywego ducha niewidząc.

W skwar południowy, gdy stadnina skupiała się zmęczona, trochę odpoczywał, o zmierzchu wracał do wsi wśród rozhukanego tabunu. Dnie te w pustce nie zdawały mu się długie i nudne. Obowiązek spełniał automatycznie, jak automat przepędzał czasem godziny nieruchomy, zaparty w próżnię przed siebie, jakby wrosły w ziemię.

Czarne torfowisko wciągało jego stopy, wiatr poruszał płótnianką; nie bały się go ptaki, i zagadywały czasem, zuchwale zagłądając w oczy.

Łozy o zmroku przybierały fantastyczne kształty, chodziły po wygonie jakieś cienie, jakieś tłumany, jęczało po szuwarach.

Po wieczery, gdy wracał ze stadnią na nocleg ożywiała się pustka, ale nie żywe to były istoty, nie swoi, nie znani.

Konie nawet były pokorniejsze w tę godzinę. Nie rozbiegały się daleko od ogniska, które on sobie rozkładał i podsyczał noc całą.

Parobek nie spał, rozbudzony strachem i ciekawością.

Wśród mokradel „tamci“ zapalali także ogniska, suszyli pieniądze zapewne; bywało światel wiele, białawych, to tu, to tam drgających; dużo, dużo pieniędzy leżało pod topielą.

Po łożach wstawali także „oni“. Odzywali się jak koty, jak sowy, przemykali od krzaku do krzaku, a wtedy konie tulily uszy, a klacze zakrywały źrebięta, dziko-chrapiąc.

A także onej pory i „ta“ wychodziła.

Dopatrzył parobek jej guiazdo, w wierzbie starej nad bezdennem, czarnem oknem topieli. Z dziupli wychodziła, a on trwogą zdjęty ruchów jej pilnował.

Wiedział, że z ludźmi spać lubi, że ino się czai, byle przy ciepłej piersi jedną noc się ogrzać, że przerzuca się w dziewczynę piękną, że wabi, że „dur“ narzuca.

Tak i do niego podchodziła, aż pod ogień; to do Hanny siostry podobna, to do Łucysi, to do bogaczki Szczerbianki.

A on na nią zagwiał ciskał, zakłęcia szepcząc, i znikała.

Bywało na noc trzy razy podejście, bywało cztery, a on się pilnował, by go śpiącego nie zastała.

Pilnował on jej, a ona jego.

Aż jednej nocy wygon mleczną mgłą się pokrył i chłód się posłał z góry.

Ni wierzby, ni łoż nie widać, ogień źle się palił, na piersi duszno było.

Kalenik zasnął, z rękami odrzuconymi, z pierśią odsłoniętą, ową mgłą przykryty.

A wtedy „ona“ przyszła do jego ciepłej piersi, wtedy ona jego usta młode całowała i młodą krwią się ogrzała.

We śnie ich te mgły spowiły, a on się i nie bronił, gdy go rosa szronem osypała, jak potem śmiertelnym.

Zbudził się dreszczami wstrząsany, z gardłem zaschem, głową gorejącą i ciężką, i zrozumiał że go ta licha, ta jędza—febra—pojęła.

I od tej nocy chwyciła go, od tej nocy męczyła go codziennie, ciskając bezsilnego na wilgotną murawę, po której się wił, wstrząsany wewnątrz dreszczami i kurczem.

Zęby mu szczękały, piersi rozrywała czkawka i wrzenie nerwowe.

Potem nagle żary go opadły. Czerniał od gorączki, spalone wargi odświeżając wodą z rowu.

Nad ranem odstępowała go wiedźma oderwawszy szmat siły, napiwszy się krwi cierpłej.

Odstępowała, a on, jak martwy, leżał na wygonie, nim rosę z niego i pot choroby zdjęło słońce łaskawe.

Nic jeść nie chciał, i moc tracił.

Tydzień jeszcze się włóczył za koniami, borykając się z chorobą. Wychudł, twarz mu zżółkła i czerniała, oczy wpadły i zasnuły się mgłą pleśnią, nogi nie słuchały woli.

Pewnego dnia na pastwisku padł, i nie wstał. Wilk wysunął się z łoż i spłoszył konie. Parobek widział go, ale nie krzyknął nawet, widział popłoch stadniny, ale się nie poruszył.

Wszystko mu było obojętne.

Na pół omdlałego zastał Sydor.

Konie wpadły w zboża gromadzkie, ludzie wpadli z wymysłami do Hubeni, a ten za kij porwał i popędził na wygon.

Zaczął tedsynowca pałką okładać, klnąc strasznie.

Kalenik tylko się wił po ziemi i głucho stękał, i tak go stary zostawił, wyczerpawszy przekleństwa i siłę.

Wieczorem zabrano na wóz Kalenika i przewieziono do chaty; zeszły baby „szeptuchy“ i rozpoczęły kurację.

„Uczyna“ to była straszna.

Na ławie, gdzie skonała Sydorowa, zajął miejsce Kalenik.

Rano okrywano go kozuchem, w gorączce przykładano do piersi mokrą glinę, zamawiano chorobę przed i po słońcu, opisywano na chlebie, tłuczono nad chorym garnki, smalono mu włosy. Pomimo to wszystko zaczął puchnąć. Twarz powlekała się szklistą nabrzmałością, złotawe włosy poczynały się plątać w kołtun.

Po całych dniach był samotny. Odwiedzał go Łyska, kot, i kury, ludzie nie mieli czasu dla chorego.

Wieczorem wyrzekano strasznie, że choruje w roboczy czas, że się wylega niby jaki pan.

Gryzł go to, i próbował robić cokolwiek, ale ledwie o kiju zasunął się za próg, i na przyzbie usiadł.

Dusiły go czasem łzy z rozpaczony nad niemocą, z żalu, że woły zmierzniały a klacz próżnowała, bo Sydor pił i nie dbał o zarobek.

Pewnego wieczora w chacie nastąpiła walna narada. Swacha od Rychora Szczerby przyszła. Nie chciano czekać. O bogatą jedynaczkę dobijali się inni. Wesela nie można już było odkładać. Sydor począł kłać.

— Ten zdycha. Na Kniazie się rozchorował. *Pohana jego mać!* Znachory z chaty nie wyłażą, pieniądze idą, a on mi jeszcze w kosowicę zdechnie.

Kalenik słuchał — i milczał na swej ławie.

— To ja się ożenię! — rzekł Sacharko.

— Czemu nie! Rychor tak mówił! — potwierdziła swacha. — Opuszczać nie warto. Daje krowę, byczka, trzy owce, cztery „bodnie“ odzieży. Dziewka, jak ją wiece, gładka, czerwona, zdrowa, a pracowita okrutnie. Szczęście wam w ręce leż!

Chłopom oczy zabłysły.

Spojrzeni po sobie ojciec z synem, i zrozumieli się.

— Tak i będzie! — zdecydował Sydor. — Niech ją Sacharko bierze! Lata bez baby nie przeżyjem.

Kalenik słuchał, i milczał.

Bratanek do niego się zwrócił.

— Czuj, Kalenik! — zawołał. — Tobie wszystko jedno. Popierze moja żona tobie bieliznę, jeśli nie umrzesz. Na jesieni znajdziesz sobie drugą.

— Bierz. Ja tobie jej nie szkoduję! — odparł.

— To nie czekając jutro „zapoiny“ zrobimy! — zawołał Sydor.

Tak się to zdecydowało.

Nazajutrz, gdy Kalenik jak zwykle sam w chacie pozostał, skrzypnęły drzwi nieśmiało.

W progu stała Łucysia, tak zawstydzona, że ینo jej oczy widać było zza rumieńca.

— Dzień dobry — cichutko szepnęła.

Parobek mozolnie się dźwignął i siadł na poscieli.

Popatrzyła na niego, i łzy jej się rzuciły do oczu, i ręce załamała.

— O Jezul! Co z ciebie się zrobiło! — szepnęła.

— Umierać trzeba! — odparł obojętnie.

— Bożeż mój, Boże! Koszula na tobie jak ziemia, czarna.

— Bo do ziemi pójdę. Nijakiej rady niema.

— Radził się ty u Kirylichy?

— Radził u wszystkich i we wsi i na okolicę. Nawet do Kończyc wozili mnie, kiedy już nogi nie zechciała mijać. Jedno powiadają: „uczyna“.

Ale taka mocna, że ratunku dać nie mogą. Co robić! Raz sądzono rodzić się, raz umierać!

— A u kabalarki ty był? Na straży?

— Nie. Nie zdążał!

— Ja była — nieśmiało przyznała się.

— O mnie?

— O ciebie. Piwnia (koguta) zaniosła, taj całą prawdę wiem.

— Nu? — zaciekawiony spytał.

— Kiedy boję się tutaj stać. Kto wejdzie i źle pomyśli. Ja do waszej najmitki przyszła berda pożyczyc.

Kalenik z mozołem stanął na nogi i, czepiając się sprzętów, w półzgięty, wyszedł przed chatę.

Tam na przyzbie siadł, przygasłemi oczyma na dziewczynę patrząc.

Ona opodal stanęła, i tak ich każdy mógł zobaczyć.

— Nu. Teraz mów!

— Kabalarka poznała, że to „uczyna“. Tak rozpowiadała gładko: Czarny człowiek, zrobił, mówi, za to, że jego pobili. Czujesz? To Tychon, a nie on, ale baćko jego, za tę bitwę w karczmie, pamiętasz? Naco ty jego zagabał! Bożeż mój, Boże! — zaczęła znowu płakać.

— Zagabał? — powtórzył Kalenik. — Nu, praw-

da. Niech za tobą nie chodzi, póki mnie na Kniazie nie wywożą. Boh me, niech nie chodzi!

Dziewczyna postąpiła krok naprzód:

— To ty durny! Wczoraj u mnie Tychona swaty były.

Parobek głowę podniósł.

Twarz jego obrzmiała, żółta, przybrała wyraz osłupienia i goryczy.

— To ty taka. Na, niech on ciebie weźmie, niech jego baćko mnie zamęczy! Popamiętacie. Nie minie ta noc, żeby ja do was z Kniazów nie przyszedł. Mało mnie życia, ale wam jeszcze mniej wesela!

— Kalenik! Skręcił się ty? Duru się najadł? Jak pies, co na sianie leży, i sam nie zje, i koniowi nie da.

— Niechaj i tak! — mruknął, i po chwili spytał. To już zapoiny były twoje?

— Nie! — odparła.

— Czemu?

— Bo nie chcę. Maty wybiła nawet. Boję się do nich iść, między znachory! A ty, bierzesz Szczerbiankę?

— Nie. Sacharko bierze.

— A ty?

— Co ja? „Merec“! (trup). I taki nie chcę! — ciszej zakończył.

— Nie umrzesz, nie! — mówiła kabalarka. Ratuńek jest, tylko już nie od znachorów; Czyruk nad wszystkich mocniejszy. Tobie pomoże, taki, co *lacki* krzyżyk nosi.

— Krzyżyk? Toć i ja noszę!

— Nie taki. Znachory nad Lachami mocy nie mają przez te krzyżyki. Oni ich nie kupują u gąlganiarza, jak chłopci, tylko zkądsiś wożą. Tak mówiła kabalarka. Tobie chyba pani ratuńek da.

— Mohel! — zaciekawiony słuchał parobek. — Bo to to ona zechce! Diadko indyki ukradł. Ona mnie jeszcze do reszty otruje.

— To ja dla siebie poproszę. Rozpowiem tak i tak. Lik (lek) dostanę, taj tobie dam.

— Dobra ty! — szepnęła.

— Nie umieraj ino! — rzekła, załośnie nań spoglądając. — Nie na śmierć ja tobie koszule prała.

Skrzyła się ze łzami w cień drzwi.

Południe było, i bardzo ciepło, woń obornika i świeżej ziemi mieszała się z czeremchowym kwieciem.

Słońce uderzało w obnażoną, wyschłą pierś chłopca, obejmowało jego zbolalą głowę.

Wieś w polu była, i cichość panowała po zagrodach, bocian klekotał na stodole Hubeniów, pszczoły obierały pyły z liści kwiatów na gruszy przed chatą.

— Łucysiu! — zawołał parobek.

— Czego?

— Jak ja nie umrę, bo ja ciebie wezmę na jesieni.

— Ty? Mutysz (kłamiesz).

— I Boh me!

Zamilkli, nie patrzali na siebie.

— Żeby do sianokosa pozdrowić — szepnęła parobek.

— Pozdrowiejesz. Bóg baćko. Zaraz ja do pani pójdę. Może tobie co smacznego jeść się chce? Na, masz.

Nieśmiało dobyła z fartucha garść zielonej cebuli i obwarzanek, rzuciła mu w ręce, i uciekła ubóstwem swego daru zawstydzona.

— Łucysiu, zazulo, — zawołał. — Poczekasz?

— Poczekam — odszepnęła, zakrywając oczy.

Na przyzbie w słońcu sam pozostał, pożerając chciwie gorzkie lodygi cebuli, i twardy obwarzanek.

Otucha wstąpiła mu w duszę.

Bóg da, pozdrowieje do sianokosu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Z teki namiestniczej.

Nierzadko na tem miejscu przychodziło nam wspominać o prądzie nowoczesnym pędzącym nie-

wiasty ku szlakom dotąd im obcym w zaostrojonej walce o byt i spotęgowanej ciekawości wiedzy. Kobiety-studentki bądźco bądź tworzą po-dziś dzień typ nam obcy i niepokojący, z którym pogodzić się trudno, nam zwłaszcza, przechowującym bardziej od innych plemion tradycją zado-mówionej cnoty matron nie odbiegających ro-dzinnego ogniska, lecz pilnujących świętego żaru z legendową w rękę kądziela. Są jednak wa-runki i okoliczności mogące usprawiedliwić żądze podniosłegożycia nurtujące dziś w świecie niewieścim, a jeśli co mogło nas nawrócić i prze-konać do kobiet-lekarek, to dwutomowe zapiski Lady Dufferin and Ava, małżonki namiestnika królowej Wiktorii w jej indyjskim państwie od 1884 r. do 1888 r. Czterolecie to nie minęło bezowocnie dla pięknej towarzyski wielkorząd-cy olbrzymich angielskich kolonii. Macierzyń-skie jej serce, rozwinięte domowem szczęściem, którego w Indyach już dwudziestopięcioletnią święciła rocznicę, zajęło się troskliwie niedo- statkami, jakie jej się przedstawiły na tych dale- kich cywilizowanego świata kresach. Podczas gdy jej poprzedniczki na tem wysokim stanowi- sku zajmowały się ulgą niesioną nędzom miejsco- wym lub szerzeniem oświaty zapomocą szkół i pensji żeńskich, Lady Dufferin postanowiła przede wszystkim inną wypełnić próżnią, inne spełnić posłannictwo. Surowe przepisy religii Braminów nie pozwalają żadnemu mężczyźnie wkroczyć w progi *zenanów*, czyli mieszkań ko- biecych, ztąd niewiasty indyjskie całkiem by- wają pozbawione lekarskiej pomocy i zadawal- niają się dzikimi guszami lub poradami znachor- rek, których recepty mnożą jeszcze śmiertelność bardzo zaludnionej krainy. Chcąc zapobiedz podobnemu stanowi rzeczy, Lady Dufferin umy- śliła zawiązać stowarzyszenie sanitarne, które- by zaopatrywało indyjskie kobiety w pomoc le- karską i opiekę nad chorymi. Cały zastęp „doktorek“, sprowadzonych z Anglii, znalazł tu szerokie pole czynu i poświęcenia. Wystarczy wspomnieć, iż jedna z nich, w ciągu sześciu za- ledwie miesięcy, udzieliła porady siedemnastu tysiącom pacjentek! Niema też przesady w twierdzeniu urzędowem, iż zabiegi Lady Dufferin dotyczyły życia i zdrowia stu milio- nów kobiet, które niegdyś bez żadnego ratunku za murami *zenanów* marniały. Szkoły i zakła- dy kształcące na miejscu lekarki i dozorcynie chorych, szpitale i schroniska, powstawały jakby za dotknięciem różdżeczki czarodziejskiej, dzięki osobistym zabiegom Lady Dufferin. Nakładała ona własną osobą, nie skąpiła czasu ani sił, a rozkład jej dnia, odzwierciedlony w poufnej z matką korespondencji, budzi podziw i przy- nosi zbudowanie. Nie na żarty, nie dla pró- żności, przejmuje ona odpowiedzialność wyso- kiego stanowiska. Śladem małżonka całe zbie- ga kolonie, a wszędy też, obok intelligentnego zwiędzania cudów architektonicznych lub przy- rodzonych, obok powinności urzędowych i urzę- dowej reprezentacji, widzimy następujące po sobie konferencye, zebrania, wizytacye istnieją- cych lub nowopowstających instytucji, uroczy- ste zakładanie kamieni węgielnych lub otwieranie nowych przytułków, — słowem: dowody niez- mordowanej czynności i przytomności, ciągłe ku jednemu zmierzającym celom. Na wdzięczny grunt padły usiłowania szlachetnej Angielki. Szczep indyjski odznacza się bystrością i po- chopnością do przyswajania sobie dobrodziejstw cywilizacji. Wszędzie też ze strony tubylców doznawała gotowego poparcia, chętnej a ofiar- nej pomocy, i jedna sobie wdzięczność uwy- datnioną publicznemi hołdy i szczerym żalem, gdy po upływie lat czterech rozkaz najwyższy przerzucił Wielkorządcę Indyi na posadę am- basadora angielskiego przy Kwirynale. Lady Dufferin nie bez smutku rzuciła rozpoczęte dzie- ło, gorąco polecała też spełnienie swych zabie- gów i pomysłów następczyni swej, Lady Lands- downe. Z owego czterolecia, okrom stałych pomników dobroczynnej w Indyach działal- ności, pozostały listy w kształcie dzienniczka pisane do matki, które bodaj najdokładniej, dają nam poznać te zaczarowane światy, tylo- krotnie już przez podróżnych opisywane i obie-

gane. Żaden wszelako prosty turysta nie posiadał równych ułatwień w dotarciu wszędzie i oglądaniu wszystkiego, żaden tak długo nie pozostaje na miejscu, tak dokładnych nie otrzymuje informacji. Lady Dufferin skwapliwie wytrącała ze swych zapisków wszystko, coby teńnę polityką, nie pokusiła się o głębsze badanie stosunków i przyszłości kolonii, ograniczyła się na wciąganiu w swój dzienniczek codziennych wrażeń, i ztąd, acz może jej zapiski nieco mogą się wydać płytkimi, zkadinał nabrały niemal fotograficznej wierności i czarują wiernością odbicia. Kraj to tysiąca i jednej nocy, i zrazu trudno objąć wszystkie jego piękności i blaski. Spokojnie też płyną opisy słane do Anglii przez Lady Dufferin. Stopniowo atoli ulega ona oczarowaniu, ożywia się jej styl, tęczowemi przetykany barwy. Jaskrawość wschodnia ogarnia jej duszę i pióro, i poufne zwierzenia zamieniają się nieraz w artystycznie wykończone obrazki i zachwycające odgłosy. Pośpność zachodu jeszcze nam się mroczniejszą wydaje, potęguje się świadomość ubóstwa starej Europy, kiedy się tu patrzy na przepych życia, obyczajów, strojów, mieszkań, gmachów i przyrody Hindustanu. Może to słońce zwrotnikowe rozwija w mieszkańcach tych stref upodobanie w grze kolorów i błyskach drogich kruszców? Dość, że w miejsce naszych ciemnych, spłowiałych szat, występują tam stale najjaśniejsze, najskrajniejsze barwy, że polichromia przetykana złotem jest nieodłącznym warunkiem budownictwa, że klejnoty należą do koniecznej powszedniości życia, że zbytek i bogactwa, o jakich nam się nie śni, tu występują jako rzeczy wręcz codzienne i zwyczajne. Niewolnictwa już niema, ale zastępy nieprzeliczonej służby przypominają wieki dawne niewolniczą do usług gotowością. Lady Dufferin na wstępie żali się na mnóstwo domowej czeladzi, na rozkład zajęć powierzonych odrębnym sługom. Do każdego zadania inny bywa powołany wykonawca. Ten, co świece zakłada, za nic ich nie zapali ani zgasi; ten, kto wodę przynosi, woła innego, aby ją wylał. Odcienie kastowe przejawiają się nawet pośród służby; niewolnicza a mechaniczna uległość o nic nie pyta, byle wykonać powierzone sobie z góry zadanie. I tak np. gdy dla utrzymania trawnika rozkazano codziennie go podlewać, zastęp sług spełniających tę część roboty ogrodniczej nie baczył na zmiany czasu, i w największą słońce sumiennie po kilka konwi wody lał na wilgotną murawę. Myliłby się bowiem ten, coby mniemał, iż niezmacona pogoda usniecha się mieszkańcom tych stref uprzywilejowanych. Lady Dufferin często wspomina dokuczliwe zimna, burze zwrotnikowe i cyklony siejące dokoła zniszczenie, ulewne i długie deszcze, nareszcie mgły nieustępujące sławnym *London fogs*. Zdrowa natura dzielnej Angielki wszystko znosi, owszem wszystkim się raduje i cieszy. Dziwny ten hart, wynik rozumnego wychowania, cechował zwykły Albionu córy. Oczywiście, wiele wewnętrznego wyrobienia zawdzięczają one warunkom w jakich im się rozwijać i żyć wypada. Niema tu np. śladu tej chorobliwej tęsknoty, żrącej nasze, naprzykład, dusze za każdym rozłączeniem z krajem czy rodziną. Niedarmo kolonie dostarczają istnej szkoły moralnego zahartowania. Lady Dufferin nie narzeka na rozdział z młodszymi dziećmi, które to przybywają z Anglii, to znów opuszczają Indye: znajduje to całkiem w porządku rzeczy, gdy telegraficznie z siostrą rozmawia, z Kalkutty do Teheranu, dokąd je służba publiczna przerzuciła. Zniesienie przestrzeni zapomocą elektryczności i pary uwydatnia się w tych zapiskach. Wciąż nowi goście przybywają z Europy, jakoby w sąsiedzkie odwiedziny. Gdy jaki dostojny zawita przybysz, niema końca powitaniom i świetnościom przyjęcia. Wszystko zaś tu przybiera olbrzymie rozmiary: jeśli mowa o łowach, natychmiast nagana sama tysiąca dolicza się ludzi; jeśli iluminacja, błyskają, nie sznury świateł, lecz całe mury ognia; jeśli bal, to na dwa tysiące uczestników, w sali liczącej

np. do czterdziestu drzwi; jeśli spacerowa wycieczka, to istna karawana ludzi, koni mułów i słoni. Żelaznego potrzeba zdrowia, aby wytrzymać i przetrzymać tak urozmaicone mnóstwem podróży, przyjęć i zajęć życie. Lady Dufferin na wszystko starczy, jedną zaledwie zdradzając słabość. Ta dzielna, śmiała, pracowita kobieta, przyznaje się do instynktowej trwożliwości wobec koni, wiecznie się lęka, aby jej zaprzęg nieporwał, woźnica nie wyrwał, rumaki się nie spłoszyły, i to jest najcięższa próba jej bardzo świetnego losu. Wobec przepychu wschodniego i reprezentacja władzy musi występować z niemniejszą wspaniałością. Ilekroć urzędowy *Durbar*, t. j. audyencya, dla miejscowych dostojników bywa oznaczanym, ciężkie srebrne lub złote krzesła, przedstawiające tron vice-królewski, muszą się znajdować w sali czy namiocie, i nieraz windować je potrzeba po stromych górach i wyżynach. Sypią się podarki, hołdy, haracze, składane nieraz jako osobiste upominki na ręce vice-króla i jego towarzyszek. Wszelako mądre prawodawstwo przewidziało możliwe ztąd a niebezpieczne wyniki. I oto wyraźna ustawa nakazuje wielkorządczom w tej chwili każdy dar sobie złożony oddać na rzecz skarbu publicznego, nic zgłę dla siebie nie zatrzymując. Lady Dufferin bieraz w ten sposób rozstawać się musiała z ofiarowanymi sobie szatami i kosztownościami, które następnie szły na publiczną licytację. Wśród mnóstwa obiadów, wieczorów, garden-parties, koncertów, loteryi, którym przewodniczyć jest zmuszoną, pisząc np. do matki, iż w przeciągu krótkiego czasu wydała u siebie pięćdziesiąt cztery zabawy a u stołu miała przeszło sześćset osób, nigdy nie traci z oczu swego głównego zadania. Coraz-to z nowym spotyka się zabobnem, coraz z innym walczy uprzedzeniem. Opowiada np., iż utartą kuracją przepisana matkom po urodzeniu dziecięcia jest poniekąd przypiekanie ich na wolnym ogniu. Przystosobione naprzód drzewo żarzy się obok postania, a chora dochodzi stopniowo niemal do zupełnego zasuszenia i przepalenia. Dziesięcioletnie dziewczęta wychodzą za mąż, owdowiałe kobiety skazane bywają na śmierć lub pogardę, jeśli ofiarą życia za małżonkiem nie pośpieszą. Działanie lady Dufferin było bardzo rozumne. Najpierw nie przeprowadzała gwałtownie, nie wywierała nieroztropnego nacisku. A dalej, szerząc cywilizację, nie naruszała nigdy obyczaju krajowego: owszem, przestrzegała owego uszanowania. Nieraz, opisując malowniczość stroju narodowego, ubolewa nad wdzieraniem się europejskich, konwencyonalnych szczegółów niewieściego przybrania w te uprzywilejowane krainy, gdzie jeszcze odrębność zewnętrznych szat nie została zrównana przez mundurową a demokratyczną liberyą europejskich społeczności.

Lady Dufferin prawie nigdy się z małżonkiem nie rozstawała, towarzyszyła mu nawet do obozów i tak uczestniczyła w sławnym spotkaniu się przedstawiciela Anglii z Emirem Afganistanu w Rawal-Pindi. Nie uchyla nam wszakże zasłony z rokowań politycznych tam zaszłych dla ścieśnienia przymierza Afganów z Anglią, maluje nam tylko dosadnie przeciwności klimatyczne, które gaszą świetność spotkania potokami deszczu. Nie mniemać nam atoli, aby małżonka vice-króla miała być wystawioną na trudy obozowe. Komfort angielski idzie w ślad prawowitych synów Albionu. I oto mimo odległości mimo słoty i błota, odnajdujemy w namiotach wszystkie wygody życia, bez których Anglicy obyć się nie mogą: a więc obóz oświetlony gazem, opatrzonej w wodociągi, w pocztową służbę i telefony. Namioty wysłane kobiercami obejmują wcale zbyt wysokie salony, sypialnie i nieodzowną łaźnię, słowem: wszystkie nasze pojęcia o życiu obozowem zupełnie się mącą. Wogóle zapiski lady Dufferin świadczą o owej angielskiej zdolności odnajdywania się wszędzie jakoby u siebie, stworzenia sobie własnego *home*, gdziekolwiek życie zapędzi. Ulubione rodzaje sportu wszędzie Anglikom towarzyszą. Zaledwie osiadają nad Gange-

sem u stoku gór Himalaya, alisci rozpoczynają swe wycieczki konne, urządają *lawn-tennis* i mniej u nas dotąd znany *badminton*, układają konne z amazonkami wycieczki, śmiało w góry niedościgłe wyprawy, jako ciekawych turyści zwiedzają osobliwości. Z dość wyjątkowem w swem plemienu uzdolnieniem, Lady Dufferin posiada w najwyższym stopniu poczucie piękna i talent określenia go w formie uwidoczniającej, nie tylko jej osobiste wrażenia, lecz i kształty i czar opisywanych widoków. Niektóre kartki zasługiwałyby na dosłowne przytoczenie, jak np. ów misterny opis grobowej w Agra świątyni, zwanej: Taj. Tam jeden z władców Indyi złożył własne i małżonki swej prochy. Gmach to cały z marmuru białego, rzeźbionego i wykładanego misternie kosztownymi kamieniami. Ozdoby te wiją się, to napisami, to kwiatami, to wzorami pełnymi wykłintnej elegancji. Taj na wysokim podnosi się tarasie; w około przepyszny rozwija się ogród, otoczony murem, orzeźwiony wodotryskami. „Wstępujesz do portyku z czerwonego granitu, i oto masz przed sobą Taj! Trudno opisać to cudo. Rzekłbyś, iż te głązy własną posiadają duszę, taki urok tajemny wywierają na przechodnia. Niepodobna sobie wystawić, aby ludzka ręka prostych rzemieślników mury te zbudowała, aby się tu zgłęk ludzkiej pracy i hałas młotów mógł kiedykolwiek odzywać!.. Sen to, zjawisko nadprzyrodzone, bodaj święte i niebiańskie. A gdy wstąpisz w podwoje i staniesz nad grobami otoczonymi nierównaną marmurową kratą, nagle słyszysz kilka głosów rzucających w dal akkord rozbrzmiewający tysiącnie echem pod sklepieniem. Nie wiesz, kiedy głos ludzki milknie, a falowanie odgłosu się zaczyna. Taj trwały czar zostawia na duszy. Zaledwie tu wkroczysz, już ci marzysz o powrocie w noc księżycową, lub o słońca wschodzie—przeczuwasz, iż, zamieszkawszy w Agra, wracałbyś tu ilekroć zateśknąłbyś za ukojeniem lub ucieszeniem duszy,—że to miejsce jedyne dla łez lub rozmyślenia. Dlatego, powtarzam, iż to cudo zdaje się własną posiadać duszę i że sprawa tajemnicze wrażenie niedostatecznie usprawiedliwione, ani swą przedziwną białością, ani nierównaną harmonią kształtów“.

Niezawsze tak górne Lady Dufferin kreśli obrazy. Bywają czasem bardzo wesołe kartki w jej zapiskach, są i bardziej ponure, ilekroć np. wspomina sławne i mordercze powstanie krajowców *sepojów*, w 1857 r. Żalobne pamiątki cisną się wtedy pod pióro i przed oczy Angielki, mianowicie w Lucknow, głównem ognisku rewolucji. Na cmentarzu miejscowym znajduje się grobowiec heroicznego obrońcy miasta, Sir Henry Lawrence. Napis opiewa: „Tu spoczywa mąż, który usiłował wypełnić do ostatka swą powinność: Boże, bądź miłościw duszy jego“. Rezydencją rządową powstańcy głównie wzięli na cel, ażeby ją zburzyć: padały gradem kule i kartacze, i codziennie z wywieszzonego w górze angielskiego sztandaru zostawały zaledwie strzępki, co nie przeszkadzało, iż napowrót nową chorągiew podnoszono rankiem nad dachem pałacu. Lady Dufferin zwiedzała z cziątkomną, w której Sir Henry Lawrence poległ śmiercią walecznych. Bomba wybuchająca urwała nogę jednemu z domowników. Gęsty dym zaległ całą izbę. Czyś nie ranny? — spytał jeden z towarzyszy Lawrence'a: — Nie ranny, ale zabity, — odpowiedział, i wkrótce już ducha wyzionął.

Wrażenia Lady Dufferin zalecają się i dlatego nadzwyczajną rozmaitością, iż coraz-to inne zwiedza miasta i okolice. Cały półwysep Hindustanu rozwija przed nią swe czary — od Kalkutty do Bombaju, od Madrasu do Lahory; podróżuje wciąż wspólnie z mężem, docierając do granic Afganów, do osad dzikiego Beludystanu, a w drugiej stronie znowu do Birmanii. Tam wiara chrześcijańska bardzo się szybko przyjmuje, dzięki starodawnemu proctwu, nurtującemu wśród ludu, które opiewało, że kiedyś nadejdzie człek o bladym obliczu, niosący z sobą księgę prawdy. Owa przepowiednia utorowała drogę misjonarzom, którzy tu zostali odrazu dobrze przyjęci. Mimo sąsiedztwa innych krajów, w których przeważa wschodnie poniżenie płci słabszej, w Birmanii

kobiety mają w domu przewagę. Same sobie dobierają małżonków, a rozwodzą się z nimi, skoro im się tylko spodoba. Majątek ich osobisty i wszystko, co przyróbą, w ich własnych pozostaje rękach. Wolno im iść za mąż lub rozwodzić się do woli. Swoboda to całkiem obca mieszkancom Hindustanu, gdzie niema smutniejszego losu nad położenie wdowy, mnóstwem przepisów religijnych i ciężkich zobowiązań obciążonej.

Wspaniałe gmachy najwspanialszego miasta Delhi osobnej tu doczekały się oceny. Co powiedziecie o tych białych marmurach wykładanych złotem, o murach i bramach z czerwonego granitu, o szmelcowaniu głazów w najpiękniejsze wzory i rysunki? Co dodaje też piękności gmachom indyjskim, oto wyniesienie ich na tarasach lub podstawach, do których liczne prowadzą stopnie. Bywa tam czasem kilkaset schodów kamiennych niemało uciążliwych dla turystów. Cały Wschód odznacza się wielką pieczołowitością wobec pamięci umarłych. Wszelkie piramidy były grobowcami, ukrywającymi w sobie misternie dostęp do wewnętrznego sarkofagu. I w Delhi, obok miasta żyjących, znajduje się i stolica umarłych, ciągnąca się długim grobów szeregiem. Po obu stronach drogi wznoszą się meczety, minarety, dziedzińce marmurową zamknięte kratą. Wszędzie przepych kosztowny. Wśród mnóstwa głazów oko spoczywa na mogile zielonej. Miejsce to spoczynku indyjskiej matrony, która zażądała, aby nad grobem istoty z mułu ziemi powstałej rosnąć mogła spokojnie trawa Boża. Delhi najeżone jest smukłymi wieżycami i minaretami. Z najwyższych stropów pobożni rzucają się w pobliską wodę, skacząc zręcznie i zanurzając się nieraz na pięćdziesiąt stóp w głąb nurtów, nie ponoszą jednak szwanku w tej niebezpiecznej ich fanatyzmu igraszce.

Wyzyskiwanie piękności przyrody aby ją architekturą dopełnić: oto sztuka właściwa całego Wschodu, a najbardziej Hindów. Owa sztuka krystalizuje się w słynnych pieczarach Ellory i Elefanty. Zamiast wydobywać z ziemi olbrzymie głazy i na powierzchni je ustawiać lub ciosać, wykuto wspaniałą świątynię i pałac niezrównany z jednego monolitu, z jednej skały pozostawionej na swoim miejscu, w łonie ziemi. Pojąć nie można jak zdołano kować takie mnóstwo rzeźb ornamentów i figur, w całości, nie składając ani dodając po szczególe, lecz wszystkie roboty najmistrzowsko prowadząc odrazu w skałę głęboko zagrzebanej.

Lady Dufferin szczególny ma pociąg do dzieci. Sama licznej rodziny matka, *con amore* opisuje małych Hindów, Birmanów lub Tybetanów. Chętnie też zabawia czytelnika opisami łowów lub świata zwierzęcego. Ta bojąca się koni amazonka, próbuje podróży na mułach, wielbłądach i słoniach. Ze słoniem mianowicie ścisłą przyjaźnią zawiera, acz powtarza, iż to niewygodna lokomocja, z powodu ustawicznego ruchu olbrzymich zwierząt, które nigdy ani na chwile nie są zdolne ustać w miejscu nieruchomo. Pyta tylko azali słoń jest najmędrszym, czy też najgłupszym na świecie stworzeniem? Zagadnienie to i wobec osła nieroztrzygniętem zostaje. „Słoń cudownie wypełnia to, co mu robić każą ale z kądem inąd jakżeby łatwo mógł się uwolnić i pozbyć zadania. Chyba nie jest dowodem bystrości podobna nieświadomość własnej siły i poddawanie się woli słabej istoty, która jak mucha, zasiada mu na grzbiecie. Najlepiej przychodzi zmierzyć i ową siłę, i tę jej nieświadomość, w portowych warsztatach jak Rangoon. Wśród oceanu błota nad wybrzeżem rzeki spoczywają olbrzymie kłocce i bale, których żadnie zwierzę na świecie poruszyć-by nie zdołało. Otóż widzieliśmy tam słonie posłuszne na głos lub trzcinę swych przewodników, które podnosiły, chwyciły, pchały, ustawiały olbrzymie drzewa sztuki, zupełnie jakby rozumiały cel swego zadania. Nigdy nie im się nie zesunęło, nie skrzywiło, zawsze pochwyciły belkę z najdogodniejszej strony. Raz zatopiony w rzece kłoc z samego dna przyszło wyciągać. Podziw budziły te zwierzęta tak przemysłnie i rozmyślnie używające trąby, kłów, całego na-

wet łba, aby dobywać, posuwać i układać, porządnie drzewo na wybrzeżach“.

Lady Dufferin zachwyca się motylami Indyi. Niektóre z nich tak dobrze mają barwę i kształt liści zielonych, że ich niepodobna rozpoznać wśród gęstwiny. Jeden to dowód więcej owej celowości w naturze, ubezpieczającej byt najprzelotniej żyjących istot. Nigdy jadowite węże, ni pająki nie weszły w drogę Lady Dufferin, ani jej nie przejęły obawą i grozą. Przypatrzyła się raz zebra-nemu we flaszczyce jadowi najzłośliwszego węża, t. zw. „cobra capello“. Napis opiewał, iż trucizny tej starczyłoby, aby zabić 46 psów lub 7.450 kurcząt. Operacja gromadzenia owego jadu nie należała do zbyt bezpiecznych, a Lady Dufferin, widziała tego, który jej dokonał. Otóż jeden człowiek trzymał węża za ogon i głowę, a drugi tymczasem do pyszczki gadu przysuwał łyżeczkę nakrytą listkiem palmowym. Rozjątrzony wąż gryzł listek wściekle, a jad tymczasem w łyżeczkę kroplami opadał.

Wiadomo iż większą plagą od jadowitych gadów stanowi w Indiach szerząca się nieustannie i zatrważająca choroba trądu. Liczba trędowatych niezmiernie w ostatnich urosła latach. I o nich Lady Dufferin troskliwie myślała, nawiedzając progi ustronnych schronisk, gdzie sam widok obcej a zyczelivej twarzy już bywa pociechą i przynosi ulgę. Píše ona iż choroba czasem potrzebuje lat dwunastu, aby się w pełni rozwinać, a nieraz sobie najmłodsze i najzdrowsze odbiera ofiary.

Zabawnie nam żona vice-króla maluje targowisko w Sipi, jarmark głównie przeznaczony na układanie małżeństw. W amfiteatrze położonym na stoku wzgórze zasiały rzędami kobiety przystrojone bogato i jaskrawo. Bufiaste spodeńki, westki suto haftowane, szarfy na nich barwiste, a u nosa, uszu, rąk, głowy i szyi, kosztowne wisioriki i klejnoty. „Kobieta prawdziwie wykwin tna powinna ozdobami złotymi i srebrnymi całe przysłonić włosy. Cenne obrączki na nogach i rękach błyskają, u nosa nieraz tak duże wisi kółko, iż wypada je trzymać na łańcuszkach sięgających uszu, szeregi naszyjników spadają poniżej gorsu.“ Niestety europejskie mody zaczynają coraz - to częściej wypierać malownicze stroje wschodnie, a zwłaszcza upowszechniające się buciki psują klasyczne kształty posągowych nóg i mącą harmonią prostych drapeży, przepięknie ubierających plemię od słońca ogorzale i ozłocone.

Pisząc dla publiczności obeznanej dokładnie z obyczajami Hindów, Lady Dufferin nie dość nam je dla nas wyjaśnia. Nie wiemy też jakie są prawidła wielożeństwa, i czy bywają pewne granice w zaludnianiu *zenany* czyli haremu. Domyślam się godzi, iż one istnieją, skoro tu się doczytujemy, iż władczce Audy, indyjskiej prowincyi, współwznowcy strofowali o nadmiar żon, których posiadał aż siedmset. Urażony wymówkami poddanych, tegoż dnia przybrał sobie kilkadziesiąt nowych towarzyszek. Odosobnienie płci słabszej bardzo pilnie bywa przestrzeganiem, i dotąd się pod tym względem wschodnia surowość bynajmniej nie zmniejsza. Doskonała jest uwaga pewnego Hiada, acz nie bardzo dla Angielek uprzejma i pochlebna. Powtarzał on: „Panowie Anglicy chętnie się, ze swych kobiet nie zamykają i bardzo są z tego dumni, ale coraz bardziej bywają przebiegli a ostrożni, bo wypuszczają na świat między ludzi same tylko szpetne!“

Chyba mieszkańcy Hindustanu zmienili zdanie, ujrawszy wśród siebie małżonkę namiestnika, jeżeli zawierzyć mamy fotografii zdobiącej te potoczne zapiski, która uwidoczniła nam oblicze pełne niewieściej krasą i męskiej energii i rezolucyjności. Arystokratyczne czoło nie ugina się pod ciężarem dyamentowego dyadem, na piersiach błyskają wstęgi i orderzy wschodnie, pamiątki uznania i wdzięczności, na jakie sobie zasłużyła i zapracowała. Niniejsze kartki nas przekonują, jak dalece Lady Dufferin brała poważnie swoje wysokie posłannictwo, i jak, nie zadawalnając się błyskotliwą stroną świetnego i wysokiego stanowiska, owszem, starała się zeń na to korzystać, aby tem większą nieść pomoc cierpiącej ludzkości, posuwać dzieło cywilizacyi i do-

brodziejstwa jej zapewniać indyjskim siostrom swoim.

Gdziekolwiek losy postawią kobietę, u dołu czy na wyżynach społecznych, w dostatkach czy ubóstwie, zawsze osobiste tylko trudy i pracowite zabiegi dodają jej znaczenia, wartości i wpływu. Najwyższe, anielskie to dostojeństwo, przypinające skrzydła niebiańskich przesłańców tym wszystkim, co usiłują przybliżyć Królestwo Boże i pokój dobrej woli dać ludziom na ziemi.

M.

## RUCH MUZYCZNY.

Zanim nadechodzące uroczyste święta zwrócą sprawy i myśli ogołu li tylko w jednym kierunku, a zarówno artystów, jak dyletantów i profanów zamkną w czarownem kole rodzinnych uciech, chcielibyśmy w skróceniu obliczyć koncertowe rozrywki ubiegłego adwentu-1, jak to jest naszym obowiązkiem przypomnieć chwile słodkich upojeń, lub rozczarowań, których nam dostarczyły ostatnie występy swojskich i obcych wirtuozów.

Najpierw tedy po laury tutejsze sięgnął w Towarzystwie muzycznym pan Felix Dreyschock. Sprawa była nie łatwa, gdyż zbyt silnie jeszcze tkwiły wspomnienia świetnej gry Stavenhagena. Chcąc je przytłumić, należałoby całkiem odrębną a równie świetną stroną artyzmu zaimponować słuchaczom. Tymczasem pan Dreyschock, jakkolwiek posiada dosyć techniki względnie do surowych dzisiejszych wymagań, pod względem duchowym zbyt skąpo te wymagania zadawalnia. Chłód i brak zapалу rażą niemiłe, a nieumiejętność pochwylenia całokształtu kompozycyi sprawia, że nieraz drobiazgi nikłe wysuwają się naprzód, a naczelne rysy schodzą na dalszy plan, wszystko zaś tonie we mdłym, szarym kolorycie. Tak się stało z Barcarollą i Nocturnem Szopena, z Allegro appassionato Saint-Saëusa, Parafrazą Liszta op. „Der Fliegende Holländer“ i szeregiem innych utworów których słuchaliśmy ze wzrastającą oziębłością.

Wkrótce po tym występie, koncertował u nas p. A. Reisenauer, także fortepianista, lecz który dał dowód, że prawdziwie artystyczny temperament zawsze zdoła się ujawnić i właściwy sobie wyraz odnaleźć. Główną cechą gry p. Reisenauera jest dążność do wywoływania silnych efektów zapomocą brzmień sztucznie otrzymanych z fortepianu i nagłych, niestopniowanych przeskoków od fortissima do piana. Przy pierwszorzędnej technice, jaką p. Reisenauer posiada, szarża ta nie mija bez pozostawienia silnych wrażeń na słuchacza. Zapewne, iż niektóre kompozycje, zwłaszcza klasyczne, w ten sposób traktowane tracą na szlachetności, niektórym jednak, szczególniejsz wszelkim parafrazom, fantazyom i warjacyom Liszta, wcale nieźle z ową szarżą, która ich gwałtowną temperaturę jeszcze bardziej podnosi. Wiadomo nam, iż sam twórca i mistrz tej nowej szkoły, nie gardził podobnie krańcowemi efektami, uciekając się nawet do takich sztuczek, jak figuracje ginące w pedałowych echach; wielbiono go jednak, i grał na ludzkich nerwach, a zagadka w tem, iż *malgré tout* był prawdziwym artystą. Sprawiedliwość tę trzeba oddać i panu Reisenauerowi. Ma on swoją manierę, która w wielu razach sprzeciwia się podniosłym zasadom artyzmu, lecz nie jest-że takąsamą manierą światłocień Rembrandta, którego celemglównie efekt. Nie ubliża to jednak prawdzie kompozycyi. Pan Reisenauer, jako wykonawca, kroczy podobną drogą; odczuwa dobrze charakter kompozycyi, ma się rozumieć, leżącej w zakresie jego duchowego pojęcia, i uzewnętrznia ją w jaskrawych tonach, wojując potęgą siły, szybkością tempa i eufonią często nieleżącą nawet w charakterze instrumentu. Do rzędu utworów najpiękniej odegranych na obu koncertach zaliczamy: „Karnawał“ Schumana, Tema z waryacyami i Menuet Schuberta, Valse impromptu i Rapsody Liszta, „Soirée de Vienne“, „Lindenbaum“, „Erlkönig“, Schuberta-Liszta, Waryacje Beethovena C mol oraz

„Perpetuum mobile“ Webera. Na drugim koncercie dał się nawet p. Reisenauer poznać jako dowcipny kompozytor z epoki rococo, dawszy nam ze swe: „Suite antique“ Sicilianę, Sarabandę i Kuranta, ułożone i odegrane w granicach właściwego stylu.

Koncert Symfoniczny dyrekcyi teatrów mieścił w sobie duże dane, by podwójnie zainteresować publiczność naszą. Najpierw przynęta być winno usłyszenie orkiestry, która pod dyktando pana Rzebiczkę może teraz śmiało współzawodniczyć z pierwszorzędnymi orkiestrami: taka zgodność, subtelność w cieniowaniu i poszanowanie sztuki w niej zapanowały. Wykonanie Symfonii B dur Schumana, uwertury „Meerestille und glückliche Fahrt“ Mendelssohna, oraz pięknej, oryginalnej a dotąd u nas niegranej uwertury „Im Frühling“ Goldmarka, nie pozostawiało nic do życzenia. Drugą atrakcją był występ p. Stanisława Barcewicza, którego dawno nie słyszało się na estradzie jako solisty. Pomimo jednak tych pojęć koncert symfoniczny, jak zwykle, świecił pustkami i znowu smutne wnioski o tutejszej znanej muzykalności nasuwał. Skromna tedy gromadka słuchaczy rozkoszowała się znakomitą grą wirtuoza. Program, złożony z koncertu Joachima, „Joty Navarry“ Sarassatego i tańców węgierskich Brahmsa, bardzo był odpowiednim do wykazania wysokiego stopnia techniki i siły, brawury i energii. Pierwsze zwłaszcza dzieło, (koncert Joachima), rzecz można, iż nie zawiera innych dodatnich stron, oprócz zewnętrznej szaty, utkanej z różnych, na popis techniki skrzypcowej obmyślanych, bawideł. Bądź-co-bądź, podziwiając wytrwałość ręki w kaskadzie akordów i pasaży, oraz zawsze imponującą potęgę tonu p. Barcewicza, mieliśmy dopiero przedsmak owej uczytwej muzycznej, jaką uraczył nas wirtuoz w parę dni później na swoim własnym koncercie. Tym razem publiczność, chcąc okazać artyście swoją sympatię, a mimo woli zaznaczając, iż orkiestralną symfonią wytrąca ze swoich upodobań zebrała się nadzwyczaj tłumnie. Po każdym wykonanym numerze programu zapał wzrastał, oklaski i bisowania przybierały cechę owacy, czuć było, że entuzjazm ogarnia serca i umysły wszystkich bez wyjątku, zlewa się w jeden wyraz sympatii i hołdu. Krytyka mało co dodać może wobec prawdy, jaką stwierdza *vox populi*, że znakomitym skrzypkiem, wyróżniającym się wśród wielu sławnych, jest nasz Barcewicz, i że słuszenie w egoizmie naszym czujemy się dumnymi z posiadania go tak stale i niepodzielnie. Czy jednak sam wirtuoz nie traci na tem, zamykając się w ciasnej arenie jednego miasta, i talent swój oddając na codzienne usługi w orkiestralnej zbiorowej grze? — jest to kwestya inna, i tę z punktu czysto artystycznego rozpatrując, dochodzi się do wniosku, iż zbytne zadomowienie się, jak również praca więcej rzemieślniczą w orkiestrze, nie są odpowiedniami dla artysty, któremu świat cały stoi otworem. Barcewicz wykonał koncert Brucha (Allegro, Andante i Finale), Symfonię skrzypcową Lalo (Adagio, Scherzo i Finale), „Abendlied“ Schumana, „Tańce cygańskie“ Nacheza, „Jota Navarra“ i „Romana andaluza“ Sarassatego, a nad program „Mazura“ Wieniawskiego i Nokturn Szopena, których wykonanie podniosło temperaturę uczuć w audytorium, do — zwrotnikowego żaru.

Pan Komierowski, przyjmujący udział w koncercie, kazał nam żałować, iż tak skąpo udziela się większej publiczności, gdy ma wszelkie prawo stanąć w rzędzie artystów jako śpiewak utalentowany, obdarzony ślicznym głosem, którym umiejętnie i szlachetnie włada. Tego wieczora wykonał: „Chant provençal“ Masseneta, „Dumkę“ Kratzera i kilka innych interesujących pieśni. Orkiestra rozpoczęła koncert pod batutą p. Rzebiczkę, doskonale odegrawszy uwerturę Czajkowskiego „Romeo i Julia“.

Teraz wypada nam zaznaczyć w dziejach kroniki muzycznej odwiedzin tegorocznych pani Pauliny Lucca. Po raz wtóry już spotyka Warszawę zaszczyt usłyszenia „divy“, której głosu czarowne ongi brzmienie zachwycało przez ćwierć wieku stolicę świata. Do nas przywozła diva

już tylko *les beaux restes* głosu, lecz i to, co nie ginie: znakomitą metodę śpiewu, głęboki artyzm, subtelne poczucie estetyczne. Jak delikatna rzeźba w drogim kruszcu lub kości słoniowej, gdzie każdy rys mistrzowsko jest pomyślany, tak śpiew pani Lucca w każdej frazie, w każdej modulacji rzeźbi i wypukla najdelikatniejsze kontury i odcienie danej kompozycyi, arcydzieło sztuki zeń czyniąc. Śpiew ten ceni się wysoko, chociażby tylko jako studjum, jako świadectwo, czego może dokonać artyzm i jak się powinno sztukę traktować. Mieliśmy sposobność usłyszeć: arją z op. „Don-Juan“, arją z op. „Afrykanka“, wielką arją Chimeny z op. „Cyd“ Cabanere z op. „Carmen“ i duet z op. „Józef w Egipcie“ Mehula, który diva odśpiewała z panem Forstenem; ten ostatni wykonał również kilka solowych arji. Na fortepianie popisywał się p. Cezek, kompozytami Lisz a, oraz własnymi i balladą Szopena As dur, w której doprawdy trudno było rozpoznać idealny utwór muzyka-poety.

O naszej operze nie mam tym razem wiele do powiedzenia, jedynie nawet tylko to: że wobec pustej sali debiutował pan Bruszewski w „Halce“. Publiczność nie dopisała, może z powodu mylnych wieści na afiszach, brak zaś audytorium zazwyczaj oddziaływa ujemnie na artystów. Jednakże p. Bruszewski nie zachwiał się w swej roli i oddał ją bardzo a bardzo wdzięcznie. Posiada on piękny materiał głosu, dostateczne zasoby wiedzy i dużo wrodzonej intuicji.

Najświeższe wrażenia, któremi dzielimy się z naszymi czytelnikami, zaczerpnięte są z koncertu „Lutni“ który się odbył dnia 16 Grudnia. Bujny program, jak zwykle, składał się z utworów mających tę wysoką wartość, iż się ogółowi podobają, dzięki łatwo i mile wpadającej w ucho kantilenie. Pan Maszyński nie każe też walczyć drużynie swojej ze zbytmi trudnościami wokalnemi, i chór staje się popularnym, co z przyjemnością zaznaczamy. Bardzo miłe wrażenie sprawiły solowe na tle chóru dźwięki śpiewu pana Kotarbińskiego, który słodkim swoim tenorem, jak dzwonek czystym, do serca przemawia. Przyjmujący udział w koncercie: panna Zapalkiewicz i p. Schlözer, dostarczyli niemało pola artystycznym uwagom. Śpiewaczka w wykonaniu arji z op. „Tytus“ Mozarta, oraz pieśni Schuberta i Schumana rozwinęła bogactwo swojego głosu, który jest doskonale postawionym i wyrobionym do zwalczania technicznych trudności; życzylibyśmy tylko więcej ciepła, więcej uczucia, ono bowiem udziela się i audytorium, gorętsze wrażenia budząc.

Pan Schlözer umie zelektryzować słuchaczy swoją werwą i energią temperamentu, i obudzić zajęcie indywidualnem, często oryginalnem, traktowaniem kompozycyi. Sonata B mol Szopena, Allegro, Scherzo i Finale nader pięknie były oddane, a fantazyja z tematów „Halki“ ułożona przez p. Tausiga, tylko wybornej interpretacji zawdzięcza swój efekt.

Juljusz Stattler.

## LIST Z WŁOCH.

W Grudniu.

Od czasu listu mego do was najwybitniejszym faktem w życiu publicznem Włoch jest wystawa w Turynie. Stolica niegdyś oddzielnego państwa, kolebka szlacheckiego rodu, który dał Włochom dynastją wysoce zasłużonych i gorąco kochanych przez naród królów, jest po Rzymie, Neapolu, Florencyi, czwartem z rzędu miastem w państwie. Niema tu ani tych pamiątek, ani tych skarbów sztuki, jakie posiadają tamte grody włoskie, ale czyste: wesle, z pięknymi ulicami, szerokiemi i długimi, sprawia wrażenie mile dla oka. Położone w dolinie Po, osłonięte od północy pasmem Alp o uśnieżonych wierzchołkach, a licznych wioskach i willach na dolnych stokach, ma już jednak charakter miast włoskich, który się jeszcze wzmógł, gdy *Prima Esposizione Italiana d'Architettura* sprowadziła tu gości z całego półwyspu. Urządono ją w pięknym starym parku Valentino,

w salach galerii sztuk pięknych, zachowanej po wystawie narodowej z 1889 r., a że włoski mają ten smak delikatny, to poczucie artystycznego piękna, które uczyniło z ich ojczyzny uprzywilejowaną krainę sztuki, całość przedstawiała się bardzo wdzięcznie. Nasza Warszawa i Kraków wcale pokazać zajęły miejsca, również i Praga przedstawiona najpierw w fototypie. „Złota Praha roku 1606“ pociągała wzrok ku sobie a dalej dołączono tu całą seryą pięknych fotografii gmachów i celniejszych pomników architektury, nietylko już z Pragi dzisiejszej, ale z całych Czech.

Zaraz w pobliżu i naprzeciwko urządono w oddzielnej sekcji wystawę Krakowa, tak staranną, tak porządnie i estetycznie ułożoną, z tak kunsztownie zdjętym planem miasta i celniejszych kościołów — z tak pięknymi fotografiami, że minister oświecenia, Boselli, okazał przy jej zwiedzaniu szczególne zajęcie, a następnie na jego żądanie kommissya wystawowa prosiła, aby okazy mogły pozostać dla wystawienia ich powtórnego na mającej odbyć się w Rzymie 1893 r. wystawie, lub przynajmniej na kilka miesięcy dla możności uważniejszego przestudowania bogatego i cennego dla specjalistów materiału.

Warszawa prezentowała się też wcale pokąźnie. Urządzenia miejskie, a szczególnie kanalizacya i wodociągi zajmowały specjalistów, ale wystawa krakowska była bogatsza w ciekawe szczegóły i w ogóle uważano ją za wzorową. Żalowałem tylko, że nie było nikogo, kto by mógł udzielać potrzebnych objaśnień; na szczęście podjął się tego stale tu mieszkający ziomek nasz, Zahorowski, ale był to, powiedzieliby można, z łaski losu zesłany *cicerone* i opiekun wystawy krakowskiej, a przecież chyba nie trudno było staremu grodowi znaleźć kogoś, kto by mógł wywiązać się dobrze z tego zadania. Do najciekawszych rzeczy należał dział bibliograficzny, zawierający wydawnictwa ilustrowane: „Klejnoty miasta Krakowa“ z tekstem Łuszczkiewicza, stare księgi miejskie i dyplomatarysze — wszystko wydawnictwa Akademii i wiele starożytnych aktów miejskich, od 1300 do 1750 r. Między spisem budowniczych krakowskich znalazło się dużo mistrzów włoskich i w ogóle bardzo to zajmowało, nietylko starożytników włoskich.

Na scenie rzymskiej teatru *Valle* wystawiono niedawno dramat z naszych motywów, a jego bohaterem jest poeta nasz, Zygmunt Krasiński i jego żona, która tu występuje przeciw jako kochanka zimnego, twardego serca. Autor, Walenty Carrera, popełnił mnóstwo błędów, a nawet można powiedzieć, że fikcyja to poetyczna, niemająca w sobie nic prawdy, ale obok tego jest tu wiele ognia, siły, dramatyczności, jest gorąco życliwe dla poety i dla nas usposobienie. Naszego widza dramat ten musi niezmiernie drażnić przez nieprawdę, przez obrazowanie fałszywe, ale publiczność włoska unosi się, klaszcze, kobiety leją łzy, zwłaszcza w akcie piątym, gdy za kulisami przeciąga pogrzebowy orszak, z trumną poety. Biją w dzwony, rozlegają się pienia żałobne, a na scenie niemierna kochanka siedzi obok tego, który został przeniesionym nadeń. Trzyma ona w ręku kielich szampana, ale gdy z kolei słuch jej uderza śpiewana przez chór młodzieży pieśń poety — niby głos tego, który nie odezwie się już do niej nigdy na ziemi, serce jej przenika boleść, rozdzierają je wyrzuty sumienia i w uniesieniu namiętnym topi sztylet w piersi tego, który uczynił ją wiarołomną.

Najpierwsza tragiczka włoska, Pia Marchi, przedstawia Elżbietę Branicką. Jest ona bardzo piękna, wielkiego talentu i gorącego temperamentu scenicznego, po-mistrzowsku też oddaje ten moment tragiczny.

Odsłonięcie pomnika Wiktora Emanuela w Perugii było bardzo uroczyste. Posąg ten, dzieło pierwszego włoskiego mistrza rzeźby, Tadelini, odlany w bronzie, przedstawia *Re Liberatore* na koniu. Tłum ogromny uczestniczył w uroczystości; na wielkim placu miejskim, gdzie akt ten się odbywał, grało dwadzieścia połączonych orkiestr pułkowych hymn włoski, i widziano lży płynące nietylko z oczu niewieścich — lały się one po licach sędlizwych weteranów, których wódz to był i towarzysz broni.

Król z królewiczem wyjechali zaraz wieczorem do Florencji, gdzie odbyła się nazajutrz zaraz podobna uroczystość. Posąg także brązowy; król bohater konno w historycznym mundurze jeneralskim. Dzieło to rzeźbiarza Zocchi, wysokie naszeć metrów, wznosi się na równie wysokim cokole z czarnego marmuru. Z dwóch jego stron przedstawione są dwie wielkie chwile z życia Wiktora Emmanuela w płaskorzeźbie. Pierwszy obraz to wręczenie toskańskiego plebiscytu królowi, który stoi w otoczeniu wiernych współpracowników swoich w dziele odrodzenia Włoch; są tam Cavour, Ricasoli, Lamarmora, Mamiani, Jacini. Płaskorzeźba z drugiej strony, to odjazd króla z Florencji do Rzymu, gdzie ma się, jako monarcha Włoch, na złotym tronie cesarów.

Wielki korowód historyczny, który się odbył następnie, wiódł przez miasto 20.000 osób w kostyumach. Królowa Małgorzata z dworem swoim i księżną Aosty przybyła do Florencji też w tym samym czasie, co król. Odzwierciedlić trudno wspaniałość tej uroczystości, ale oddać obraz nastroju uczuć przytomnych — niepodobna!

Co się leżało, co rąk się wyciągało ku posągowi bohatera!

W dzień zaduszny król z młodym księciem Aosty, którego kocha jak syna, i z hrabią Turynu udali się do opactwa Supergi, gdzie mieszczą się groby członków sabaudzkiego domu i gdzie król kląkł na grobie brata wraz z jego synami po nabożeństwie żałobnym w starożytnej katedrze. Officerowie jazdy włoskiej złożyli na mogile brązowe trofea: trzy skrzyżowane kopie, na których umieszczona jest tarcza z orłem sabaudzkim, który ma na piersiach srebrny krzyż w czerwonym polu pod koroną królewską. Obok tego złożono tu przeszło 200 wieńców, głównie od wojska.

Król chciał następnie widzieć twórcę posągu i wyraził mu w słowach gorących wdzięczność swoją, że umiał tak odebrać to, co stanowiło charakterystykę *Króla Odrodźciciela*. Tak monarcha, jak sztukmistrz byli przytem jednakowo wzruszeni i gdy król ujął rękę Zocchi'ego, aby ją uściskać, były to dwie ręce ziomek, Włochów, które się łączyły w uścisku serdecznego współczucia.

Zocchi jest twórcą wysoce pięknego posągu Michała Anioła i grupy: *Żydzi na pustyni*. Nad posągami Wiktora Emmanuela pracował lat cztery z gorącą miłością, tak dla sztuki swojej, jak i dla przedmiotu. Mówiono, że nieraz, leżąc bezsenny w nocy, przedstawiał sobie w wyobraźni dzieło swoje i nierazdo zrywał się z łóżka, biegł do pracowni, aby poprawić jakiś szczegół, zaznaczyć rys, który w tej chwili twórczego podniesienia uchwycił dobitniej.

Wieczorem wystawiono w teatrze Pergolo operę młodego kompozytora, Pietro Mascagni: *Cavalleria Rusticana*, arcydzieło — jak przyznały wszystkie powagi muzyczne Włoch. Przyjęcie, jakiego tego doznała ta opera, równać chyba można z tem, co spotykało niegdyś dzieła Rossiniego i Belliniego. Owacje te są tak entuzjastyczne, jakie tylko we Włoszech spotkać można, bo tu od wyrobnika do magnata-arystokraty wszyscy muzykę czują i zapalają się namiętnie do jej piękności.

Verdi napisał też świeżo operę komiczną „Falstaff“, do słów Boito. Nikt jeszcze nie zna ani muzyki, ani libretta, ale Verdi przyznał już w liście do margrabiegr Monaldi, że pogłoski nie mylą. List ten został ogłoszony drukiem, opera ma być przedstawioną w początkach przyszłego roku, w Medyolanie, w teatrze La Scala. Partycya już jest oddaną dla studyowania.

Można powiedzieć, że Włochy znajdują się w dobie nieustannych uroczystości. Tak długo były smutnie odcięte od przeszłości, że obecnie

chcą to sobie powetować, i obchody pamiątkowe następują jedno po drugim. Gdy w Watykanie podniesiono sprawę kanonizacyi Kolumba, zapowiedziano zaraz w całych Włoszech wielkie, czci jego poświęcone uroczystości, przypadające na dzień 12 Października 1892 r. i w tym dniu bieżącego roku zawiązał się w Rzymie komitet, który na zebraniach swoich postanowił: 1) Umieszczenie d. 12 Października 1892 r. posągu Kolumba z lapidarnym, czci jego poświęconym napisem, w kościele na Janiculum, obok grobowca Torkwata Tassa. 2) Składanie coroczne w dzień ten pamiątkowy wieńca laurowego u stóp posągu Kolumba na Monte Pincio. 3) Składanie coroczne takiegoż wieńca w d. 25 Kwietnia na grobie Tassa. 4) Pamiątkowe wydanie w d. 12 Października 1892 r. albumu jubileuszowego, poświęconego czci Kolumba. 5) Urządzenie świetnego, czci Kolumba poświęconego pochodu przez miasto, w którym braliby udział wszyscy obecni w Rzymie Genueńczycy. 6) Wielki obiad na 400 ubogich.

Oprócz tego maestro Pollini, dyrektor instytutu muzycznego w Rzymie, zapowiedział wielkie uroczystości muzyczne, poświęcone czci Kolumba.

Kraj cały zajmuje się żywo każdym takim hołdem, składanym swoim chwałom przeszłości. Małe miasteczko Venosa, w Bazylikacie, przypominając sobie, że jest starożytnym Venusium, osadą rzymską, zapragnęło wzniesić pomnik Horacjuszowi. Prof. Tangorra, rodem z Venosy, wraz z Fryderykiem Rossi, dziennikarzem rzymskim, zwołali w pierwszych dniach bieżącego miesiąca wielkie zgromadzenie uczonych, literatów i czcicieli poezji, a może więcej jeszcze czcicieli starej przeszłości kraju, i zawiązało się stowarzyszenie z celem zbierania składek na pomnik i uroczystość jego inauguracyi, która „powinna być wspaniałą, jak przeszłość rzymska“.

Zawiązał się też komitet w celu wzniesienia pomnika na cześć wielkiej kobiety włoskiej, Wiktorji Colonna, która była natchnieniem najwyższego sztukmistrza Italji — Michała Anioła. Już kiedyś, o ile sobie przypominam, pióro moje w liście do was dotknęło tej postaci, złączonej na wiekopomność chwały z twórcą *Mojżesza*. Wielki ten mistrz dłuta był właśnie przez wzniosłość swą poniekąd odosobniony. Nie miał przyjaciela, a raczej, jak sam wyznaje, przyjacielem jego był tylko Dante — cień jego, z którym tak rozmawiał we wspaniałych sonetach swoich, jakgdyby z druhem żyjącym, który przebywa gdzieś blisko. Duchy były bliskie sobie, na jednakowym poziomie wzniosłości, aż mistrz już sędziwy, bo sześćdziesięcioletni, znalazł żywą istotę, która stała mu się przyjacielem najdroższym. Wiele kobiet takich spotkał on na swojej drodze, dla których zapalał się miłością, gasnącą przecież niedługo, aż nakoniec poznał tę, do której przywiązał się uczuciem, nazywanem przezeń miłością, na którą się skarży, że przybyła dopiero u zachodu życia, którą przecież należy raczej nazywać silną, gorącą przyjaźnią, godną dwóch dusz zarówno szlachetnych, czystych i wysokich. Wiktorja Colonna ma prawo do pomnika od narodu swojego; poetka, opiekunka sztuki, zaznaczająca się wybitnie w ruchu myślowym swojego narodu, a przytem czysta jak lilia, do której była podobną przez śnieżystość kielicha swojej duszy, przez strzelistość górnej istoty swej czystej. Korrespondencya jej z Michałem Aniołem wykazuje czem był stosunek tych dwojga ludzi, złączonych przez najszlachetniejsze strony natury ludzkiej. Nad zwłokami jej ten najwyższy mistrz, nietylko we włoskiej sztuce; zawołał: „Co w tobie było boskiego, śmiertelnie tylko objawić się tu mogło, śmierć przecież boskości twej nie porwała...“ Naród jej uznaje to po dziś dzień, jak tego dowodzi akt jego czci

wiekowej w marmurze, który ma się wzniesić w rodzinnym jej miejscu, Marino pod Rzymem, wśród wzgórz Lacyum, gdzie w starożytnym zamku możnowładców przysłała na świat. Opiewał jej wdzięki, szczytność jej umysłu i drugi Włoch nieśmiertelny: Ariosto; obecnie komitet budowy pomnika odzywa się o niej tak do narodu włoskiego. „Wiktorja Colonna przez wdzięki swoje, szczytny umysł i dziwną cnotę, była wśród zepsutego nawskróś wieku chluba całych Włoch, przeto mają one obowiązkiem przypomnienia sobie jak należy błogiej i pamiętnej chwili jej urodzin“.

Do aktów czcidiła wielkich ludzi przeszłości składanej przez pokolenie dzisiejszych Włoch należy wydawnictwo korrespondencyi Cairoli'ego. Pierwszy tom ukaze się wkrótce, bo przed Nowym Rokiem. Zawiera podobno pięćset listów Garibaldi'ego, nigdzie niedrukowanych. Ale po za tą sferą ideału chwila bieżąca ma niemniej swoje troski i trudności. Brak roboty wskutek zastoju fabryk daje się czuć ciężko, okrutnie, w Medyolanie, w Brescii i ogólnie w Lombardji. Crispi usiłuje przez roboty publiczne zapobiegać temu, ale musi to odbić się drugostronnie na budżecie — musi być podniesieniem podatków, na które sarkają posiadacze ziemscy, sarkają przemysłowcy. Etna wybucha też od końca Października, ogromne wulkaniczne słupy dymu wznoszą się z głębi głównego krateru; w okolicy Giarra dało się czuć w początkach Listopada trzęsienie ziemi i ci, biorąc miarę z pewnych sfer wielkich miast, z wolnomularstwa rzymskiego, uważają, że Włochy stały się narodem bez Boga, niech pójdą popatrzeć, jak wobec braków i trudów życia modli się on szczerze i gorąco, i to nietylko lud wiejski, jak niektórzy dowodzą. Polityka, ukonstytuowanie się kraju według potrzeb danej chwili idzie swoją drogą, a pobożność, wiara, równomiernie swoją.

Kardynał Lavigerie miał w tych dniach posłuchanie u Ojca Świętego. Towarzyszyło mu czternastu murzynów, pochodzących z krainy Naudy. Murzyni ci zostaną posłani na Malte, gdzie kosztem prywatnej szkatuły Papieża studyować będą na uniwersytecie tamtejszym medycynę. Po ukończeniu nauki wrócą do kraju jako lekarze ciał i dusz, bo będą tam krzewicielami oświaty i misyonarzami.

Ostatnią nowiną moją jest, że zima tu u nas niebywała. Obecnie linia kolejowa z Sulmony do Rzymu stoi zawiana śniegiem na wysokość 5 metrów. Przy usuwaniu go czternastu robotników zmiażdżył pług śniegowy, który torował drogę wśród zasp dla nadchodzącego pociągu. Trzech roztratował na śmierć, jedenastu jest ciężko rannych. Śmierć i ból jest wszędzie jednakowo na świecie, że przecież list mój odbieracie już przed świętami samemi, więc łamię się z wami oplatkiem dobrych życzeń. Może będziecie czytać te słowa, gdy stół nakryty do wili już czekać będzie, abyście siedli przy nim weseli, w gronie rodzinnym, więc dodam zapytanie: czy chowacie dotąd wdzięczny obyczaj stary zaszcienia go sianem? Jakie ono wonne to siano... jakie wonne!..

August.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dla wszystkich prenumeratorów prospekt „Echa“.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 5-ty i 6-ty powieści pod tytułem: **Ordynat na Ballantrae**, przez Roberta Ludwika Stevenson, przekład z angielskiego.

**TREŚĆ:** Chwała Panu na Wysokościach (drzeworyt). — Kolenda (poezja), przez M. I. — Moja Gwiazdka przez M. I. — Hrywda. Powieść, przez Maryę Rodziewicz, (dalszy ciąg). — Z teki namiestniczej, przez M. — Ruch muzyczny, przez Juliusza Stattlera. — List z Włoch, przez Augusta.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 5-ty i 6-ty powieści, pod tytułem: **Ordynat na Ballantrae** przez Roberta Ludwika Stevenson, Przekład z angielskiego. — Przegląd mód. — 23 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 12 Декабря 1890 года.

